

Piotr Wołejko: Czy następuje zmierzch postjałtańskiego świata z amerykańską dominacją?

Czy za naszego życia nastąpi kolejny etap w historii, którym będzie zrównanie się siły głównych mocarstw, a może nawet wysunięcie się na pozycję dominującą innego państwa (w domyśle – Chin)? A może nastąpi wielki „comeback” Ameryki, w hollywoodzkim stylu, ponieważ kraj ten nadal posiada wszelkie zasoby niezbędne do tego, by odgrywać główną rolę? – pyta Piotr Wołejko w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Era pospojałtańska?”.

Zmierzch Ameryki i jej dominacji to temat, którym badacze i analitycy zajmują się nie od dziś. Po krótkim, bo trwającym nieco ponad dekadę okresie absolutnej hegemonii – od upadku ZSRR do momentu ugrzęźnięcia USA w długotrwałych wojnach w Afganistanie i Iraku na początku XXI w. – pozycja Stanów Zjednoczonych stopniowo słabnie. Dość płynnie przeszliśmy z unipolarnego do multipolarnego świata, w którym Waszyngton to już „tylko” *primus inter pares* globalnych potęg. Czy za naszego życia nastąpi kolejny etap w historii, którym będzie zrównanie się siły głównych mocarstw, a może nawet wysunięcie się na pozycję dominującą innego państwa (w domyśle – Chin)? A może nastąpi wielki *comeback* Ameryki, w hollywoodzkim stylu, ponieważ kraj ten nadal posiada wszelkie zasoby niezbędne do tego, by odgrywać główną rolę?

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Ład jałtański opierał się na podziale świata na strefy wpływów, a między głównymi rywalami (USA i ZSRR) toczyła się tzw. Zimna Wojna. Obie strony doskonale wiedziały, że przejście do otwartej konfrontacji będzie kosztowne, a po uzyskaniu przez Sowietów broni jądrowej może doprowadzić do całkowitego zniszczenia. Dlatego długo trwało podgryzanie się poprzez sponsorowanie dyktatorów, zamachów stanu, wojen domowych, podejmowanie działań przez służby wywiadowcze oraz stosowanie narzędzi propagandowych (walka o umysły i sumienia). Gdy ZSRR upadł, Ameryka i szeroko rozumiany Zachód straciły rywala. Wtedy też zostały zasiane ziarna przyszłego upadku potęgi USA. Panował nastrój „końca historii”. Waszyngton z rozmachem realizował swoje cele polityczne (m.in. poszerzenie NATO), wojskowe (m.in. interwencja w Kosowie, Afganistanie, obalenie Saddama Husajna w Iraku) i gospodarcze (m.in. zgoda na wejście Chin do Światowej Organizacji Handlu). Wspomniane przykłady trudno ocenić jednoznacznie negatywnie – przecież interwencja w Kosowie pozwoliła uratować życie cywilów, a poszerzenie NATO pozwoliło krajom Europy Środkowej i Wschodniej poczuć się pełnoprawnymi członkami Zachodu. Decyzje Ameryki w wyżej wymienionych obszarach można uznać za wpisujące się w liberalną ideę stosunków międzynarodowych. Ameryka, a przez to demokracja, wolność i wolny rynek wygrały Zimną Wojnę i trwał pochód tych wartości na pozycje zajęte wcześniej przez wrogie mocarstwo.

Chwila szczerości liderów europejskich pokazała, że nie tylko nie ma już jedności we wspólnocie Zachodu, lecz także to, że Europejczycy są głęboko podzieleni między sobą.

Każda moneta ma jednak dwie strony, a w interesującym nas przypadku ta druga strona to zagrożenia kiełkujące na glebie użyźnionej triumfem liberalizmu. Polityczne i wojskowe decyzje

Ameryki nie tylko spowodowały utwardzenie się stanowiska Rosji – poszukującej własnej tożsamości w pierwszych latach po upadku ZSRR – ale również ujawniły podziały w łonie samego Zachodu. Dobrze pamiętamy komentarze przywódców Niemiec i Francji w momencie, w którym Stany Zjednoczone decydowały o wypowiedzeniu wojny Irakowi. Chwila szczerości liderów europejskich pokazała, że nie tylko nie ma już jedności we wspólnocie Zachodu, lecz także to, że Europejczycy są głęboko podzieleni między sobą. Ameryka dolewała oliwy do ognia, grając na rozłam wspólnoty europejskiej (nie mylić z Unią Europejską, chodzi o europejskich sojuszników Ameryki). Tamte rany ciągle się nie zabiły. Niezbyt korzystnie dla USA wyszła też realizacja celów gospodarczych, w szczególności wspomnianego wcześniej przystąpienia Chin do Światowej Organizacji Handlu (WTO). Być może była to decyzja o najbardziej donośnych konsekwencjach, rzutująca na układ sił w XXI wieku. Dopiero wejście do WTO w 2001 r. spowodowało „włączenie dopalaczy” – Chiny przez wiele lat rozwijały się w dwucyfrowym tempie, stając się globalną fabryką. Zbudowano od zera milionowe miasta, tysiące kilometrów dróg, szlaków kolejowych, huty i stalownie, stocznie i fabryki. W Chinach chciały znaleźć się wszystkie globalne, głównie zachodnie korporacje – niskie koszty

produkcji oraz ogromny i dynamicznie rosnący rynek wewnętrzny były zbyt cenne, żeby z nich nie skorzystać. Ceną za wejście do Chin było dzielenie się know-how: technologiami, metodami produkcji, systemami organizacji pracy etc. Oprócz wymuszonego transferu technologii na ogromną skalę następował też ten nielegalny – szpiegostwo przemysłowe.

W ten sposób spora grupa chińskich przedsiębiorstw w krótkim czasie „nadrobiła” zaległości wobec zachodnich firm i stała się dla nich groźną konkurencją. O ile jakość chińskich produktów często jeszcze nie wytrzymuje porównania z zachodnią, to cena zazwyczaj jest o wiele bardziej atrakcyjna. Wraz z bogaceniem się Chin unowocześniały i modernizowały swoje siły zbrojne. Ich budżet wojskowy ustępuje już tylko amerykańskiemu, wyprzedzając pozostałe potęgi takie jak Rosja, Francja czy Wielka Brytania. Chińczycy posiadają nowoczesny arsenał rakietowy, który może zagrozić w ewentualnej konfrontacji amerykańskim lotniskowcom, zmuszając je do operowania z większej odległości, co zmniejsza istotnie ich efektywność i siłę bojową. Chińskie okręty podwodne niejednokrotnie pokazywały swoje „zdolności”, pojawiając się niezauważenie w pobliżu amerykańskiej floty na wodach Azji i Pacyfiku. Do służby wszedł pierwszy chiński lotniskowiec, a prace trwają nad kolejnymi. Do tego dochodzi coraz bardziej „muskularna” polityka w najbliższym sąsiedztwie, przejawiająca się chociażby w militaryzacji wysepek i archipelagów na Morzu Południowochińskim. Bez wejścia do WTO i przemykania oka przez Zachód, a w szczególności przez Amerykę, na liczne naruszenia zasad wolnego handlu (protekcjonizm, niedopuszczanie zagranicznych firm do realizacji zamówień publicznych, wspieranie „czempionów” w rozmaitych branżach, kradzież i wymuszony transfer własności

intelektualnej), Chiny nie doszłyby – przynajmniej nie w takim tempie – do aktualnej pozycji politycznej ani gospodarczej. A można je uznać za drugie, po Ameryce, globalne mocarstwo.

*„Wojna handlowa”
wypowiedziana Chinom przez
prezydenta Trumpa to próba
powstrzymania utraty pozycji
na rzecz Pekinu podjęta w
zasadzie „last minute”.*

Nieprzypadkowo tak
dużo słów
poświęciłem
Chinom. To bowiem
one mają dziś szansę
sięgnąć po prymat, a
przynajmniej
zepchnąć Amerykę z
niekwestionowanej

pozycji numer jeden w polityce międzynarodowej. A ta pozycja znaczy bardzo wiele, chociażby wyznaczanie standardów wedle własnego uznania i sprawienie, że pozostali będą się do nich stosować. W naturalny sposób kojarzymy te standardy z prawem międzynarodowym i globalnymi instytucjami, które zapewniają mniej bądź bardziej skuteczną egzekucję tegoż prawa, jednak te standardy to także gospodarka i sektor finansowy czy regulacje handlowe. Dominacja Ameryki opiera się nie tylko na Marines, lotniskowcach, NATO i systemie sojuszy czy wspólnocie wartości Zachodu, lecz także na potędze dolara i centralnej pozycji amerykańskich instytucji finansowych. Po zamachach terrorystycznych z 11 września 2001 r., Amerykanie w dużej mierze „zmilitaryzowali” swój system finansowy, stosując coraz bardziej wymyślne – i dotkliwe dla państw i podmiotów nimi objętych – sankcje finansowe. Przekonuje się o tym chociażby Iran, a pod presją USA znajdują się także Chiny (w mniejszej mierze także sojusznicze kraje z Europy i nie tylko). „Wojna handlowa” wypowiedziana Chinom przez prezydenta Trumpa to próba powstrzymania utraty pozycji na rzecz Pekinu podjęta w zasadzie „last

minute”. Kadencja Trumpa dobiega końca, a efekty jego działań są umiarkowane. Chińczycy starają się przeczekać Trumpa oferując ograniczone ustępstwa. Z perspektywy Pekinu widać cierpliwość, lecz może ona zostać wystawiona na próbę – jeśli Trump wygra reelekcję, uderzy w Chiny z podwójną mocą, a jeśli do Białego Domu wprowadzi się Demokrat, to nie należy spodziewać się odwrócenia polityki względem Pekinu o 180 stopni. Amerykańska elita polityczna zgadza się co do tego, że Chiny stanowią wielowymiarowe zagrożenie, którym trzeba się pilnie zająć.

Czy zatem Ameryce uda się obronić przed wzrostem Chin i utrzymać rolę *primus inter pares* w globalnej polityce? Nikt inny nie jest w stanie ani nie ma za bardzo ambicji do tego, by rzucić wyzwanie Stanom Zjednoczonym. Unia Europejska powoli uczy się wielkiej polityki, lecz ogromna różnorodność jej członków utrudnia wypracowywanie jednolitego – i wyrazistego – stanowiska. Rosja w ostatnich dwóch dekadach umocniła swoją pozycję międzynarodową, lecz jej gospodarka jest jednowymiarowa i zbyt mała, by umożliwić realizację prawdziwie globalnej polityki. Indie są jeszcze bardziej różnorodne, a do tego o wiele biedniejsze od Unii Europejskiej. Nie przejawiają też globalnych ambicji. Brazylia czy Indonezja miewają gorsze i lepsze momenty gospodarcze, co wpływa na wzrost bądź spadek ich siły politycznej. Japonia się starzeje i kurczy, choć utrzymuje czołową pozycję gospodarczą i technologiczną. Politycznie jest jednak karłem, schowanym pod parasolem amerykańskich sił zbrojnych. Ameryka przegrać może tylko z Chinami albo z samą sobą, jeśli nastąpi kolejny gospodarczy kryzys lub zwrot ku izolacjonizmowi. Prezydentura Donalda Trumpa może być albo początkiem, albo epizodem izolacjonizmu – a przecież takie tendencje są mocno ugruntowane w amerykańskiej historii. Jednak zawsze na końcu okazywało się, że podejście „America first” wymaga wyjścia poza własne granice,

najpierw w bezpośrednie sąsiedztwo, a później coraz dalej, aż nagle okazuje się, że żywotne interesy narodowe wymagają globalnego zaangażowania. To zresztą nic nowego, bo inne mocarstwa w historii świata postępowały podobnie.

Na końcu trzeba wreszcie odpowiedzieć wprost na zadane w tytule tekstu pytanie. Bez wątpienia mamy do czynienia ze zmierzchem amerykańskiej dominacji i najpewniej zmierzamy do końca postjałtańskiego świata. Dziś trudno jest wyrokować o tym, czy nastąpi kolejny „oficjalny” podział – jak na Kongresie Wiedeńskim czy konferencji jałtańskiej – czy raczej będzie to podział powstający „na żywym organizmie”. Osobiście skłaniałbym się ku tej drugiej opcji. Od pewnego czasu następuje korekta stref wpływów. Ameryka wydaje się oddawać pole, a chaotyczna i niespójna polityka administracji Trumpa ułatwia zadanie rywalom USA. Jednak w tym geopolitycznym pokerze moment „sprawdzam” i pokazanie tego, kto jakie ma karty, nastąpi dopiero w momencie poważnego kryzysu, który będzie wymagał użycia znacznych sił wojskowych. W naturalny sposób oczy świata będą wtedy zwrócone na Amerykę, a od decyzji jej liderów będzie zależało także to, czy nadal dominująca rola ich państwa umocni się, czy będzie dalej słabnąć.

Piotr Wołejko



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego

